

Chingombe, 6 września 2010 roku

Moi Kochani!

Dawno już nie pisałem więc wreszcie udało mi się zmobilizować i coś napisać. Cały czerwiec i lipiec spędziłem na misji w naszej dolinie sam. Ks. Piotr Kołcz przebywał na urlopie w Polsce a ks. Mercei Prawica (proboszcz) zazwyczaj opiekuje się częścią naszej potężnej parafii za górami. Ten czas spędzony samotnie był dobrą okazją do uczenia się tego miejsca i pracy duszpasterskiej wśród miejscowych ludzi i próby nawiązywania z nimi kontaktu pomimo bardzo nikłej znajomości miejscowego języka. Każdej więc niedzieli odprawiałem dwie msze św. dla miejscowych a po południu jechałem do jednej ze stacji misyjnych odprawić msze dla nich. W stacjach misyjnych msze są odprawiane w najlepszym wypadku raz w miesiącu. Niemniej czerpałem dużo radości spotykając się z ludźmi. Opracowałem specjalną metodę spowiadania ludzi w Bemba. Stacje oddalone bardziej od naszej misji odwiedzałem tak, że w jednej z nich spędzałem noc po czym jechałem do następnej następnego dnia. Najmilej wspominam Mboshye- wioską w której mieszka- ktoś w rodzaju króla. Pierwszym zaskoczeniem była ilość ludzi do spowiedzi- spowiadałem ponad 2 godziny a potem Msza- i kościół nabitą ludźmi, którzy śpiewali tak pięknie i głośno, że naprawdę się wzruszyłem- dawno czegoś takiego nie doświadczyłem. Po 2 godzinnej mszy spisywałem jeszcze protokoły przedmażeńskie. Po zmroku ok. 18.00 miejscowi chrześcijanie przygotowali mi posiłek („nshima”- placki z mąki kukurydzianej i kurczaka z przepyszny sosem), ciepłą wodę do kąpieli (łazienka jest zrobiona z wysokiej trawy na zewnątrz Kościoła. A po tym wszystkim przynieśli mi jakieś stare żelazne łóżko do spania, materac, koc, pościel i moskitierę. Była to długa noc (spałem tak długo, że nawet obudziłem się bez budzika przed świtem który jest ok. 6.00) i bardzo wygodna – Nic tylko zostać misjonarzem. Na drugi dzień skończyłem spowiadać tych którzy nie zdążyli i odprawiłem mszę św. a na zakończenie podarowali mi list z podziękowaniem za przybycie. Doznałem tam tak wiele życzliwości, że nie mam wątpliwości, że ta życzliwość wy płynęła z ich bardzo prostej wiary. W wielu miejscach, które odwiedzam nie ma takiej atmosfery jak tam.

Inną z wielkich radości tego czasu było udzielanie sakramentu małżeństwa 4 parom. To rzeczywiście wielkie święto w parafii kiedy to tzw. tradycyjne małżeństwa decydują się zawrzeć sakramentalny związek. Często jest tak, że musi upłynąć wiele czasu i narodzić się sporo dzieci za nim podejmują taki krok choć i zdarzają się tzw. białe małżeństwa- czyli młodzi, którzy zawierają sakrament małżeństwa żyjąc w czystości przed ślubem.

Były też smutne wydarzenia, takie jak pogrzeb Midried – 7 letniej dziewczynki, która się bawiła cały dzień a wieczorem zaczęła wymiotować dziwnym ciemnym płynem i zmarła- siostra w naszym szpitaliku nie zdołała jej uratować. Innym przykrym zdarzeniem była śmierć Josepha 17 -letni ego chłopca z nieproporcjonalnie wielkim brzuchem, wyglądającego na 10 letniego chłopca, którego rodzice przynieśli z wioski 17 km od nas. Siostra Marta wezwała mnie do szpitala żeby go namaścić bo stan był ciężki. Prosiłem siostrę by wezwała przez radio – „doctor fly” (latający lekarze) Po kilku dniach powiedzieli, że przylecą poczym przysłali wiadomość, że jest zakaz latania do naszej doliny bo jest zła sytuacja(dwa miesiące wcześniej zabito pilota-stało się to w naszej dolinie ale na innym lądowisku; a później jeszcze tym samym miejscu zamordowano tam dwie inne osoby). Joseph zmarł bo nie było lekarza na miejscu, który mógłby przeprowadzić operację.

Jednym z sympatycznych wspomnień jest odwiedzenia wioski Chikwasha za rzeką Mulembo. Tam z kolei samochodem można dojechać do rzeki, potem ludzie pomagają się przepłynąć tzw. "banana boat" przypomina to kanu. Z drugiego brzegu jakieś 15 min pieszo do kaplicy. Tam odprawiłem msze i mówiłem o tym, że aby przepłynąć się na drugi brzeg należy wiosłować z jednej i z drugiej strony. Nie wystarczy wiosłować z jednej, bo będziemy się kręcić w kółko i przyrównałem to do kroczenia do Boga, że potrzebna jest modlitwa (amasali) i praca (ukubomba). W naszym życiu z Bogiem też nie wystarczy tylko się modlić albo tylko pracować- w jednym i w drugim przypadku nie idziemy naprzód tylko kręcimy się w miejscu. Tak się to spodobało miejscowym dzieciom, że odprowadzając mnie do łodzi cały czas skandowali: amasali – ukubomba. Nawet prowadziliśmy taki swoisty dialog ja zaczynałem: amasali a oni odpowiadali ukubomba - co było powodem wielkiej radości.

Innym ciekawym doświadczeniem była wyprawa do wioski Luwisho. Jeden z umówionych pomocników, który miał mnie tłumaczyć nie przyszedł- zostałem sam. Na początku byłem bardzo wściekły na tego gościa- bo kilkakrotnie obiecał że przyjdzie. Więc wsiadłem do auta i pojechałem jakieś 10 km do miejsca gdzie musiałem zostawić auto. Po drodze zatrzymałem się by zabrać kilka osób. Jedną z tych osób był Fidelis(dobrze mówi po angielsku), którego zapytałem czy ma jakieś plany na popołudnie, odpowiedział: „nie”, zapytałem czy zechciałby mi pomóc, powiedział „jasne”. Więc poszliśmy jeszcze 35 min pieszo do rzeki -przepłyniliśmy się przez rzekę Lukusashi i po 15 minutowym spacerze dotarliśmy do kaplicy. Było to bardzo miłe spotkanie z ludźmi. Kiedy wracaliśmy Fidelis pokazał mi jeszcze swoje pole kukurydzy i docierając do miejsca gdzie zostawiliśmy samochód powiedział mi: Ojciec wiesz, kiedy mnie poprosiłeś o pomoc – czułem się bardzo głodny bo nic od rana nie jadłem ale kiedy Ci powiedziałem „tak”- głód mi minął- aż do tej pory nie czuję głodu. Tak to Pan Bóg działa sobie cicho kiedy wypełniamy jego wolę.

Ten czas tutaj na misji – chyba bardziej jest mi potrzebny do zbawienia niż moim czarnym braciom moja obecność tutaj. Nieustannie sobie uświadamiam – jak wiele jeszcze Bóg musi uzdrowić we mnie bym był Jego wiarygodnym świadkiem wśród ludzi. Niemniej jestem bardzo wdzięczny wszystkim którzy się za mnie modlą i ofiarują cierpienia Bogu w mojej intencji. Z całego serca dziękuję i pamiętam w modlitwie.

Ks. Zenon.